

Odszedł Wiktor Pilecki



Wiktor Pilecki

W dniu 8 lipca 2006 roku w wieku osiemdziesięciu lat zmarł w dalekim Astrachaniu Wiktor Pilecki. Był synem urodzonego w Trokach Szymona Pileckiego, wnukiem Józefa i Doroty (z d. Maleckiej) Pileckich.

Urodził się w 1926 r. w Klimowie (zachodnia Rosja). Dzieciństwo spędził w Topkach (Środkowa Syberia).

Wcześniej osiercony przez ojca, jako liczący niewiele ponad dziesięć lat chłopiec, dzielił w tych trudnych czasach z matką ciężar odpowiedzialności za dom rodzinny. W 1943 r. zmobilizowany i skierowany do nauki w szkole oficerskiej, został zawodowym wojskowym. Aż do emerytury, na którą przeszedł w 1976 r., służył w marynarce wojennej. Pełnił funkcję komendanta kursu w szkołach oficerskich rozrzuconych po całym wybrzeżu Związku Radzieckiego. Doszedł do stopnia podpułkownika. Ostatnim etapem na tym szlaku zapoczątkowanym w Nachodce i Władywostoku, a wiodącym przez Murmańsk i inne porty wojenne, był Astrachań. Po przejściu na emeryturę jeszcze przez ponad dwadzieścia lat pracował w służbach cywilnych portu i ratownictwa morskiego. Dopiero trzeci zawał serca zmusił Go do przejścia w stan spoczynku. Przetrwał w nim prawie dziesięć lat. Postępująca choroba serca, mimo że stale osłabiająca tego tak mocnego niegdyś człowieka, do końca nie odebrała mu radości życia. Cieszył się trwającym w harmonii przez wiele dziesięcioleci związkiem małżeńskim, radował sukcesami ukochanego, jedyne wnuka. Gdy w lipcowy poniedziałek minionego roku wyruszał w swoją ostatnią podróż, na astrachańskim cmentarzu zaroilo się od granatowych mundurów, oficerskich szlifów i orderów. To podopieczni Wiktor Pileckiego, przybyli z najodleglejszych zakątków Rosji, żegnali swojego dawnego opiekuna, którego tak bezlitosny zazwyczaj czas nie zdołał zatrzeć w ich pamięci.

„Syberyjska gałązka” – słowo ode mnie

Wiktor był moim stryjecznym bratem. Urodziliśmy się i żyli w miejscach tak odległych, tak różne tego życia były warunki i okoliczności. O Jego istnieniu miałem zaledwie mgliste pojęcie. Nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów. Gdy odeszli moi rodzice, poczułem chłód związany ze świadomością bezpowrotnego tracenia tego, czego każda próba opisanego słowem prowadzi nieuchronnie do patosu – w tym miejscu i czasie tak nie-

właściwego. Spowodowało to, że zacząłem coraz uważniej patrzeć w przeszłość. A tam majaczyła niewyraźnie – zupełnie nieznana – „syberyjska gałązka” mojej rodziny. Nie bardzo wierząc w szansę powodzenia, próbowałem odszukać Wiktora. Miałem wielkie szczęście. Zdażyłem. Nawiązaliśmy kontakt. Najpierw listowny, potem telefoniczny – i w końcu moja niezapomniana wizyta w Astrachaniu, wiosną 2005 r. Nigdy nie przypuszczałem, że zaległości kilku dziesięcioleci można odrobić w parę dni. A jednak! Po tym krótkim czasie, spędzonym na szczerych – czasem aż do bólu – nocnych rozmowach, spacerach brzegiem Wołgi i corannych wyprawach na „rybnyj bazar”, staliśmy się sobie bliscy. Gdy nadszedł czas mojego wyjazdu i przyszło się pożegnać, obu nam błyszczały łzy w oczach. Coś tam przebąkiwaliśmy o kolejnym spotkaniu... ale w duszach czaiła się świadomość tego, jak mało jest to prawdopodobne... Ciągle żywy mam przed oczami – widziany przez szybką odjeżdżającą „marszrutki” – obraz machającego ręką na pożegnanie, zasmuczonego Witii.

W maju 2006 r. umarła, długo i ciężko chorująca Lidia Nikolajewna, żona Wiktor. Gdy usłyszałem, że przyjął to nieszczęście „normalnie”, bez wielkiej rozpaczy, pomyślałem, że to chyba koniec. Niestety, nie omyliłem się. Dokładnie czterdzieści dni (sic!) po śmierci żony podążył za nią Witia.

Niestety, nie znałem Witii, gdy był młody, pełen sił. Nie miałem szczęścia towarzyszyć mu w kilkudniowych wyprawach łodzią w deltę Wołgi, gdzie można w sierpniu podziwiać cud, jakim jest kwitnienie lotosu. W wyprawach sięgających aż do „Kaspia”, z których wracało się z ciężkim od ikry jesiotrem. Nie miałem też sposobności obserwowania, jak własnoręcznie przyrządza z tej ikry kawior i wędzi ryby, które są największym bogactwem astrachańskiej ziemi. Nie skosztowałem astrachańskich arbuzów, nie mających ponoć sobie równych pod słońcem, do spróbowania których, we wrześniu, tak serdecznie mnie zapraszał. Nie wspomnę już o wspaniałościach Dalekiego Wschodu, Bajkału i wielu innych krain, które w swym bogatym życiu przemierzył. Ale miałem szczęście Go spotkać i wysłuchać tych opowieści, rysowanych tak sugestywnie i z taką miłością natury, że zawsze, gdy przymknę powieki, będę go widział jak żywego, wsiadającego do łodzi i ruszającego w deltę Wołgi. A delta ta jest jak dżungla, bogata nieogarnioną wręcz liczbą odnóg i zakoli, gdzie królestwo swoje mają jesiotr i bieluga, a żaden śmiertelnik dostępu tam nie ma. Jednak – czego jestem pewien – zakaz ten nie dotyczy już Witii...

Konstanty Pilecki
Gdańsk